

Zbigniew Gwoździński

ul. Kard. Stefana Wyszyńskiego 8A m 64.



Nazywam się Zbigniew Gwoździński, s. Konstantego. Urodziłem się 26 lipca 1930-go roku na Litwie, w miejscowości Janusze-wicze, pow. kowieńskiego, w rodzinie "grubszego" gospodarza. Moi rodzice mieli 71 ha ziemi.

W roku 1943-cim Niemcy wywieźli ojca na roboty do Rzeszy. Ojciec przeżył. Po wojnie wrócił do Polski. Nie mógł wrócić na Litwę, gdyż najprawdopodobniej zostałby deportowany dalej, na wschód. Przez pewien czas przebywał w koszalińskim a później osiadł w Białymstoku. Już obecnie nie żyje.

Rodzina, bez ojca oczywiście, pozostała na Litwie. Byli to: mama, siostra, młodszy brat i ja. Pracowaliśmy a właściwie haro-waliśmy na naszym gospodarstwie. Tyraliśmy jak czarne woły i wszys-tko musieliśmy oddawać państwu. Przyszła bowiem swego czasu specjalna komisja, wszystko nam opisała i wymierzyła specjal-ny podatek. Był to tzw. podatek "kułacki". Wypłacenie się z tego nie było możliwe. Ponownie przybyła komisja, ponownie majątek opisała a następnie znacjonalizowała. Żeby nas jeszcze upoko-rzyć, kazano nam tego jeszcze pilnować do czasu, aż przyjadą przedstawiciele władz i cały nasz dobytek zabiorą. Tak się i stało.

Wywózki na Litwie rozpoczęły się w 1948-ym roku. Ponieważ Litwini stawiali opór władzy radzieckiej, zwłaszcza młodzież, wywózki rozpoczęto właśnie od młodzieży oraz od bogatszych rodzin. Nas zamierzano wywieźć już w 1948-ym roku. Na szczęś-cie uprzedzono nas w porę tak, że zdołaliśmy się ukryć. Nocą, z niewielkiej odległości obserwowaliśmy, jak NKWD-yści, świe-cąc latarkami, przeszukiwali nasze obejście. Po tym najściu uciekliśmy do miasta, dokładnie do Kowna, gdzie zatrzymaliśmy

się u kuzynów.

W 1949-tym roku, w drugim dniu świąt Wielkanocnych, pojechaliśmy na wieś do kuzynów. Ktoś nam nieżyczliwy wypatrzył nas i zawiadomił kogo trzeba. Już wieczorem pojawiło się we wsi NKWD i mnie aresztowało. Mój młodszy brat tym razem miał wyjątkowe szczęście. Na krótko przed pojawieniem się NKWD-ystów, wyszedł do sąsiadów i w ten sposób uniknął aresztowania a następnie wywózki.

Z rodziny aresztowano tylko mnie, ponieważ mama i siostra nie przjechały z nami na wieś lecz zostały w Kownie.

Przez kilka najbliższych dni po aresztowaniu trzymano mnie w miejscowym areszcie a następnie wywieziono do obozu w miejscowości Szawle. Był to obóz przejściowy, zbiorczy. Tu było nas wielu. Następnie załadowano nas do bydłych wagonów i przez szesnaście dni i nocy niustannie wieziono na wschód. Dotarliśmy do miejscowości Usolnoje Sibirskoje, położonej w odległości 75 km od Irkucka. Tu ponownie ulokowano nas w dużym obozie.

Po kilku dniach grupa nas młodych podjęła starania, aby stąd wydostać się do jakiejś pracy. Tu wiało zupełną beznadziejnością. W naszych staraniach wspierał nas pewien kapitan, Żyd, który doradził nam zorganizowanie siedemdziesięcioosobowej grupy "bez tobołów". Zgodził się z nami, że w tym obozie to żadne życie i obiecał, że stąd pojedziemy gdzieś dalej. Dowodził, dając liczne przykłady, że tu siedzą ludzie z wyrokami po 25 lat.

Po kilku dniach zebraliśmy grupę i wyjechaliśmy. W nowym miejscu podjęliśmy pracę. Pieczę nad nami sprawowała komendantura. Traktowano nas lepiej, coraz lepiej niż w obozie. Początkowo musieliśmy podpisywać listę obecności oraz ✕ meldo-

wać się: początkowo co tydzień, później co dwa tygodnie a następnie co miesiąc. Po jakimś czasie całkowicie zaniechano tego obowiązku.

Pracowaliśmy i normalnie zarabialiśmy. Jeść mogliśmy tyle, ile zarobiliśmy. Mogliśmy też i pić, bo grupę tworzyli sami ludzie młodzi. Było względnie, jak się to mówiło.

Zatrudniano nas przy różnych pracach. Przez pierwsze dwa miesiące pracowałem w kopalni złota. Ta praca wyraźnie mi nie odpowiadała. Dlatego po dwóch miesiącach pojechaliśmy z kolegami w tajgę, do ekspedycji geologicznej poszukującej złota. Tu pracowałem przez 5 lat i tu zakończyłem swój długi, syberyjski pobyt.

Tam nie było tak źle. Zacząłem najpierw jako pomocnik a następnie jako samodzielny "bormajster" /wiertniczy/. Za pracę byłem nawet nagradzany m.in. sztandarem przechodnim z "czterema łbami". tzn. z wizerunkiem Marksa, Engelsa; Lenina i Stalina. Jak dziś pamiętam te 4-ry barany.

W pracy oszukiwaliśmy trochę, głównie dlatego, że nas słabo pilnowano. Zarabialiśmy nieźle. Na jedzenie wydawałem ok. 700 rubli. Jedzenia było w bród. A reszta szła na "paliwo" czyli spirytus. Przywożono go beczkami. Z trwałych rzeczy nic nie można było kupić, np. z ubrań. Cały czas chodziliśmy w roboczych łachach. Czas leciał bardzo szybko. Tygodnie mijały <sup>e</sup> jed~~n~~ za drugi~~e~~. Co chwila była niedziela i trzeba było iść do sklepiku po "paliwo" z czajnikiem, bo butelek tu nie było.

I tak zalewaliśmy ten Sojuz Nieruszonych Respublik Swobodnych.

Wiosną 1955-go roku przyszedł do nas komendant. On wiedział, że jestem Polakiem. Zapytał mnie nieoczekiwanie: "może chcesz jechać do Polski?" Sam napisał za mnie jakiś wniosek, do którego dołączyłem zdjęcie / zrobione przez niego/. Muszę tu dodać,



że nie liczyłem na to, iż wrócę. O tym tam, w tej głuszy, nigdy nie było o tym mowy.

Po jakimś czasie otrzymałem wiadomość, że wzywa mnie, komendant, Saszka Jewmienow, starszy lejtnant. Gdy przyszedłem do niego, powiedział: Gwoździński, rzucaj robotę, jedź do Polski. Tak do mnie powiedział Aleksander Jewmienow, Starszy lejtnant NKWD. Swoją osobą.

Zaczeliśmy wybierać się. Nie mogłem rozliczyć się w pracy a czasu było niewiele. Samolot był już podstawiony. Miałem tylko dwa i pół dnia a tu ciągle kogoś lub czegoś brakowało. Groziło mi to, że wyjechałbym bez pieniędzy, dosłownie bez grosza. Przyjechaliśmy do miasteczka Bodajbo / w żargonie zwanym "nie-dajboh/, do rejonu. Tu poszliśmy do rejonowego komendanta NKWD ze skargą, że nie mogliśmy się rozliczyć i jesteśmy bez pieniędzy. On na to: ja wam cichutko podpowiem; idźcie do prokuratora, mieszka tam i tam. On z pewnością jest w stanie coś na to poradzić.

Wieczorem, o godzinie dziewiątej zjawiliśmy się u prokuratora. Nazywał się Lewin i był Żydem. Przyjął nas, wysłuchał i na koniec powiedział: jutro rano chłopcy wstawajcie do kasy, o godzinie ósmej. Wszystkie pieniądze będą wam wypłacone. Nie wolno dopuścić do tego, żebyście nas przeklinali.

Rano dostaliśmy pieniądze, jak powiedziano. Wszystko było naliczone. Dostałem ponad 3 tysiące rubli.

Dalej mieliśmy lecieć samolotem. Bałem się, że w samolocie będzie zimno, bo to już był listopad. Przeto wprawilem się w taki stan, że mnie do samolotu wniesiono. Tak serdecznie się żegnaliśmy z pozostającymi tam nadal.

Przylecieliśmy do Irkucka. Tu już stał cały transport z przeznaczeniem do Polski. Na każdym wagonie był napis: "wagon dla de-

mokrata". Tu staliśmy przez kilka dni. Karmiono nas dobrze. W tym czasie uzupełniano transport nadjeżdżającymi wciąż Polakami.

Kiedy wcześniej wyjeżdżaliśmy do Irkucka, komendant odpowiedział nam, żeby wziąć ze sobą 2 kilogram masła i 2 kilogramy cukru. Stwierdził otwarcie: tego w Sojuszu nie dostaniecie. A myśmy w tajdze cukru mieliśmy pod dostatkiem. Tam był specjalny rejon, w którym można było wszystko dostać, kupić i jeszcze zarobić. Posłuchaliśmy jego rady i kupiliśmy. Ale cały czas nas karmiono.

W drodze zatrzymywaliśmy się na posiłki. Chodziliśmy do restauracji i przynosiliśmy jedzenie do wagonów: wiadro zupy, ser, wędliny i t.p. Jechaliśmy wagonami sypialnymi. Wszy nas też nie gryzły, jak to było w drodze na wschód. Trzy tysiące rubli, które otrzymałem na odjazd prawie w całości zostawiłem w sowieckim monopolu. Z tej sumy jedynie 80 rubli wymieniłem na granicy. Dostałem za nie 80 złotych. Było to w Giżycku. Po przyjeździe dostaliśmy po dwa tysiące złotych na osobę zapomogi. I te pieniądze również przepiłem. Wówczas posłałem telegram do Bielegostoku do ojca, który przyjechał do Giżycka i mnie zabrał.

Początkowo pracowałem z ojcem prywatnie. W roku 1957-mym podjąłem pracę w szpitalu w Choroszczy. Tu dotrwałem do roku 1990-go, do emerytury.

Powodem naszej deportacji było najprawdopodobniej to, że według ocen władz radzieckich byliśmy rodziną kułacką. Za czasów Stalina było tak, że jeśli ktoś popełnił przestępstwo, mordowano też najbliższą rodzinę. Skoro mojego ojca uznano za kułaka, reperkusje tego musiały dotknąć i mnie. A myśmy nie mieli tam łatwego życia: trzeba było ciężko pracować i wszyst-

ko oddać państwu. A robota tam była, że "pożał się Boże".

Wywieziono mnie także i dlatego, że byłem młody. To łączyło się bezpośrednio z kolektywizacją. Sowieci już nieco wcześniej się na tym poparzyli. Przeprowadzając wcześniej kolektywizację na Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi natrafili na zdecydowany, czynny opór. Oddziały zdesperowanych partyzantów paliły zabudowania i zboża nowozakładanych kółchozów. Tu nabyli więc pewne doświadczenia. Z terenów litewskich, przewidzianych do kolektywizacji, wywozili młodzież /Polaków i Litwinów/ po to, aby spokojnie skolektywizować. I dlatego po tych wywózkach jeśli gdzieś natrafiali na opór, to stawiały go jednostki.

Jeszcze przed moją wywózką mówiono, że przychodzili partyzanci z lasu i bardziej gorliwym zwolennikom władzy radzieckiej tarkowali tyłki i posypywali solą aby się nie "zepsuły". Chodziło o powstrzymywanie chętnych od zapisywania się do partii. Golono głowy za współpracę z Sowiecami. A ludzie byli różni, tak na Litwie jak i w Polsce.

Moja rodzina mieszkała na Litwie do 1957-go roku. Później całą rodzinę sprowadziliśmy wspólnie z ojcem do Polski.

Mój młodszy brat wrócił z wojska rosyjskiego w 1956-tym roku, kiedy jeszcze rodzina /oprócz ojca i mnie / mieszkała na Litwie. Pracował chyba przez miesiąc czy dwa. Gdy ja, 19-go grudnia 1955-go roku przyjechałem do Białegostoku, on 19-go stycznia 1956-go roku wyszedł z domu / w Rosji / i dotychczas nie powrócił. Był młodszy ode mnie o dwa lata. Szukaliśmy go wszędzie. Przepadł, zaginął na Litwie. Odbywał służbę wojskową w specjalnej jednostce, w której produkowano broń czy coś takiego. O tym nie wolno było rozpowiadać. On lubił wypić, może coś nieopatrznie powiedział. Trudno powiedzieć. A może to sprawa



wa "żulików". Wtedy Niemen płynął, mogli wrzucić do rzeki. Do dziś nie mamy o nim żadnych wiadomości. A szukałem go i przez Sowiecki Czerwony Krzyż i przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż - i nic. Żadnego śladu. Po wojnie władze milicyjne zażądały jego dokumentów i na tym koniec.

W wojsku nie służyłem ani w Rosji ani w Polsce. Tu, w Polsce wzywano mnie kilkakrotnie, miałem nawet kartę mobilizacyjną. Kiedyś powiedziano mi, że mam pięć lat urlopu po pobycie na Syberii. Kiedyś nazywano to "niebogonadiożnyj". Wreszcie przenieśli mnie do rezerwy. Nigdy nie byłem na żadnym przeszkoleniu wojskowym. Wojsko odbyłem w Sowietach; w kopalni albo w tajgach, między niedźwiedziami.

Tam nie mieliśmy żadnych dokumentów. Otrzymaliśmy tylko "sprawku s miasta raboty" czyli zaświadczenie z miejsca pracy. Każdy obowiązany był do pracy, to dokładnie kontrolowano, ale dokumentów nie wydawano żadnych. Do Polski też jechaliśmy bez dokumentów. Tylko władze miały nasze dokumenty, które przekazały władzom polskim. Pierwszym dokumentem była karta repatriacyjna. Nie miałem nawet aktu urodzenia tj. metryki. Ten dokument musiałem wyrobić tu, w Polsce, na podstawie zeznań świadków. Otrzymałem go w prezydium Powiatowej Rady Narodowej, która kiedyś mieściło się przy ulicy Warszawskiej.

Wielokrotnie nakłaniano mnie do wstąpienia do partii, bo byłem wyszczekany, mówiłem swobodnie po rosyjsku. Nakłaniano też do pracy w milicji. Mówiono, że tam będzie lżej. Odmawiałem. Nie mogłem tego robić, bo mnie na Syberię zawieziono pod przymusem. A mogłem być sobaką i gryźć ludzi, ale nie ten gatunek.

Na Syberii w naszej grupie było kilkanaście narodowości: Ormianin, Azejberdżanin, Gruzin, Tatar, Uzbek, Kirgiz i piliśmy jedną butelkę wódki. Porozumiewaliśmy się po rosyjsku brzyd-

kim, łamanym językiem. Byli też Łotysze, Estończycy i Niemcy. Jednego Niemca nawet ożeniliśmy z Litwinką. Nazywał się Gustaw Szwang. Zrobiliśmy wesele my, koledzy. Wypadło nie z tej ziemi. Był to fajny chłopiec. Do nas przybył gdzieś z obszarów północnych, spoza koła polarnego. Mówił, że tam bywał tak głodny, że potrafił zjeść kiedyś całe wiadro kartofli na raz. Dzielił zawartość całego wiadra na kilka razy ale tak jakoś wyszło, że zjadł całą zawartość. A był bardzo chudy. Mówił dobrze po litewsku. Może był litewskim Niemcem? Wcześniej był w łagrach. Po nich był przywieziony na zesłanie podobnie jak pan Olizarowicz, który był w obozach a później jeszcze jako zesłaniec.

Tam pogoda w lecie była względnie znośna ale dzika. Rano trzeba było nakładać watowane spodnie i taką kurtkę. O godzinie 14-tej, gdy wracaliśmy z pracy, byliśmy jedynie w spodenkach, bo temperatura dochodziła do 30-tu stopni. Lato tam trwało półtora miesiąca: lipiec i połowę sierpnia. We wrześniu na początku a najdalej w połowie zaczynały się piętnastostopniowe przymrozki. W dzień bywało jeszcze ciepło ale rano takie właśnie spadki temperatury. Zima tak na dobre zaczynała się od połowy października i trwała do końca maja. Zimą lat 1952/1953 temperatura spadła do minus 63-ech stopni. Do minus pięćdziesięciu stopni pracowaliśmy na zewnątrz. Gdy temperatura spadała poniżej, płacono nam 50% stawki zasadniczego zaszeregowania jako postojowe. Siedzieliśmy w domu po dwa lub trzy tygodnie. Przez cały ten czas mróz trzymał poniżej pięćdziesięciu stopni. A robota wypadła nam na polach, w lasach i na rzekach.

W tamtejszym sklepie było wszystko. W latach 1952 - 1953 był on lepiej zaopatrzony niż białostockie delikatesy. Po pow-



rocie miałem możliwość porównania. Tam był specjalny rejon. Nikt tam nie przyjeżdżał. Żyli tam ludzie tylko przywiezieni. Kogo zwerbowano, ten starał się uciec. Tereń był bardzo ciężki ale my przyzwyczailiśmy się.

Czasem rano wychodziliśmy do pracy przy 50-ciu stopniach mrozu. I tego nie odczuwaliśmy. Czasem tylko nosy pobieleją i policzki stwardnieją, ale gdy zaczniemy pracować, robota idzie jak cholera.

Gdy temperatura spadała poniżej 50-ciu stopni - nie wolno było pracować. Zabraniano tego, wyganiano. Bo przy tej temperaturze można było coś zniszczyć. Mieliśmy np. na wyposażeniu szwedzkie silniki benzynowe.

Robota i czas uciekały jak cholera. Tydzień mijał nie wiadomo i kiedy. Dziennie pracowaliśmy po osiem godzin, wliczając w to dojście i powrót. Czystej pracy wychodziło ok<sup>o</sup> sześć-ciu godzin. Pisało się osiem. Niedziele były wolne. Roczne święta: Boże Narodzenie i Wielkanoc odpracowywaliśmy za zgodą komendantury. Na Boże Narodzenie przyjeżdżał do nas sam komendant. Ludzki był człowiek.

W naszym rejonie pracowało prawdopodobnie kilkanaście tysięcy ludzi. To trudno określić, bo rejon był duży. W samej tylko ekspedycji było czterysta osób. Litwinów było niewielu. Odznaczali się pracowitością. Nie byli rozwydrzeni, pracowali solidnie i dobrze zarabiali. Bo Rosjanie na przykład, oszukiwali, pili wódkę w czasie pracy. Ich często zwalniano, dawano wilcze bilety. Litwini trzymali się.

Mnie tam traktowano jako Polaka. Zewnętrznym wyrazem tego była forma, w jakiej się do mnie zwracano: "pan". Nawet sam naczelnik ekspedycji mówił: "pan Gwoździński".

Po polsku z nikim nie rozmawiałem. Podobno była tam jakas Polka ale wstydzila się koleżanek, że te dowiedzą się, że ona

rozmawia po polsku.

Nie miałem żadnych kłopotów. Z Litwinami żyliśmy w zgodzie, nie tak, jak ostatnio w Wilnie. Może z Rosjanami żyliśmy nieco lepiej, bo naród rosyjski jest dobry. Czasami, jak sobie za bardzo pozwoliliśmy /popiliśmy/, to Litwini nie pożyczili pieniędzy do pierwszego a Rosjanie - tak. Inna sprawa, że pożyczki zawsze zwracaliśmy w terminie.

Nie wiem, jak kształtowały się nasze pobory w stosunku do zarobków w europejskiej części Związku Radzieckiego. U nas starzy górnicy, wysłużeni i doświadczeni, otrzymywali do sześciu tysięcy rubli. Do nas przyjeżdżali ludzie zwerbowani. Najczęściej pochodzili z okolic Moskwy. Ci mówili, że dotychczas zarabiali po 1300 - 1200 rubli. A im podczas wrebunku obiecywano po sześć tysięcy. Ale to było oszukaństwo. Bo bardzo często przyjezdny długo nie mógł znaleźć odpowiedniej pracy. I tu też zarabiał 1300 - 1200 rubli. Miał np. troje dzieci, jego żona nie pracowała. Potrącano mu 50% z poborów. W takiej sytuacji on najczęściej zaczynał pić do tego stopnia, że nie miał za co wrócić do domu. I w taki to sposób z naiwnych ludzi robiono dziadów.

Myśmy się z tego śmieli: dobrze wam tak, werbowszczyki. Wyście tu przyjechali na takie "długie" ruble. A my zarabialiśmy do trzech, trzech i pół tysiąca rubli. A za siedemset rubli można było żyć wspaniale. Worek cukru - jeśli miałem ochotę - mogłem kupić w sklepie. Miałem chęć na pół krowy - przywożono do sklepu całe mrożone połówki - rozpiłują, rozrąbiają i można kupować.

Masło łotewskie przywożono w 25-cio kilogramowych opakowaniach. Chciałeś kupić 3,4 kilogramy? Proszę bardzo. Konserwy były różne. Do 1953-go roku jedliśmy amerykańskie "swinnyje

tuszonki" z czasów wojny. Taką konserwę podgrzewaliśmy we dwóch, do tego dodawaliśmy suszonej cebuli. Gdy to obaj zjedliśmy podlewając butelką spirytusu, to "leciało nie wiadomo gdzie".

Suszone były: jajka, cebula, kapusta, marchew, buraki czerwone oraz kartofle. To wszystko tam dowożono. Z miejscowych upraw prawie nic nie otrzymywaliśmy. Było trochę pomidorów i kartofli. Za świeże kartofle płaciliśmy jak za złoto. Chociaż suszone też były dobre. Sprzedawano je tam w takich brykietach jak u nas sprzedawane są wafle. Wystarczyło tylko, że woda się zagotowała i można było jeść.

Praktyk religijnych żadnych tam nie było. Cerkwi też nie było żadnych. Nawet w rejonie też chyba nie było cerkwi. Nie słyszałem, aby tam był pop. Już nie mówiąc o Litwinach czy Polakach /katolikach/.

Kto się żenił, ten się zapisywał w sielsowiecie. Nigdy nie słyszałem o księdzu.

W tamtą stronę jechaliśmy w bydlęcych wagonach. Podchodziliśmy do zakratowanego okienka, żeby tam złapać nieco powietrza. Ubikację stanowiła dziura w podłodze. A to dookoła pełno ludzi, nawet na tej dziurze. Słyszano się: posuń się, bo muszę zrobić siusiu.

Wszy zajadały nas nie z tej ziemi. Było ich miliony. Wyjmowaliśmy je z ubrania gąsiami i przez okno rzucaliśmy "woszy" na cały Sojuz.

Jeść dawali od czasu do czasu. Pić nie dawali. Litwini śpiewali patriotyczne, litewskie piosenki. W czasie postojów wartownicy chodzili po dachach wagonów i stukali karabinami, żeby nie śpiewać. Ale czy tego można zabronić?

Były wypadki, że ludzie uciekali. Niektórzy mieli ze sobą piły



i wypikowywali ściany w wagonach a następnie uciekali. Kilku było zabitych.

W wagonach ludzie umierali i rodzili się. Przecież jazda trwała ponad dwa tygodnie, dokładnie 16-cie dni.

Gdy zajechaliśmy na miejsce, było coraz luźniej i luźniej. Potem żyliśmy jak pany. Tylko może nie umieliśmy żyć, bo byliśmy za młodzi. Nie było na nas żadnej groźby a za to otwarte sklepy. Jeśli w niedzielę był potrzebny spirytus - szliśmy do sklepowego z czajnikiem. Trzeba było 5 litrów spirytusu - pójdzie i sklep otworzy.

Byłem w komisji działającej przy sklepie. Czasem bowiem przywożono jakieś atrakcyjne towary, które należało podzielić.

I dobrze było. Spokój był. Nie trzeba było płacić żadnych podatków. Chodziliśmy na głosowanie. Kiedyś postanowiliśmy głosować jako pierwsi. Były to chyba wybory do Rady Najwyższej czy do pasiołkowych sielsowietów. To traktowaliśmy jako szczególną rozrywkę.

Opiekę nad nami z ramienia NKWD sprawował komendant. Był jeden na kilkuset ludzi. Ale to był swój człowiek. On z nami miał po prostu spółkę. Często przychodził do mojej chałupki, nocował i pił razem. My też zachodziliśmy do niego do komendantury. Pamiętam, kiedyś zaszliśmy do niego do domu i zastaliśmy mieszkanie czyste, wybielone. Jego nie było z nami, bo miał komisję z rejonu. Powiedział nam, gdzie znajdziemy szampana, gdzie stoi spirytus w kredensie. Ale myśmy byli już trochę podpici i przy otwieraniu szampana zaleliśmy cały sufit. Wcale za to nie pogniewał się. Powiedział, że się przeprowadzi remont i będzie "charaszo". Swoją cholę. To bardzo rzadko spotykane, żeby był taki NKWD-ysta. Saszkę Jewmienowa będę pamiętał całe życie. Z Litwinami tak nie można było żyć jak z tym komendantem.

Był z pochodzenia Rosjaninem.

Politykowaliśmy, jak tylko kto chciał. Słuchaliśmy zagranicznych radiostacji. Tam, na tamtych terenach odbiór był bardzo dobry bo nie zagłuszano. Słuchaliśmy Waszyngtonu i po polsku i po litewsku. O tamtych warunkach mówiliśmy, że "prokurator" to niedźwiedź a "sudba" to tajga. Takie trochę bezprawie.

Ale nas nie oszukiwali. Jeśli ktoś uważał, że mu za mało wypłacono, zawsze mógł pójść i sprawdzić. Sprawdzali "piórunem", zaraz wyceniali i już po kilku godzinach przesyłali do kasy, czego w PRL-u trudno by było się spodziewać.

Złoto znalezione, tam zwane "podnośne" można było podnieść, zanieść do sklepu i sprzedać. Były w tym celu specjalne sklepy, które skupowały złoto płacąc po 15 rubli za gram. Jeśli jednak ujęto kogoś ze złotem w drodze do sklepu, to oznaczało sąd. Jeśli przekroczyło się próg i zamknęło drzwi, było się panem. Kiedyś, gdy zaniósłem złoto do tego sklepu, jakiś mężczyzna wynosił całą wylizkę pieniędzy. Normalnie zdał złoto do sklepu i ładował pieniądze do walizki. Była to taka walizka-aktówka, jakie się nosi u nas.

Pewnego razu Ukrainka znalazła kawałek złota o wadze 3.800 gramów /prawie cztery kilogramy. Ponieważ był oblepiony gliną, chciała go jako kamień odrzucić. A to był ciężki chociaż nieduży kawałek. Ale strażnik podpatrzył, zameldował gdzie należy i ją aresztowano. Stała przed sądem. Jednakże znalazło się kilku świadków, którzy zeznawali na jej korzyść. Za to złoto jej zapłacono i puszczono wolno do domu. A baba była w strachu, że posadzą do więzienia. Ona nawet nie wiedziała, że to było złoto. Po prostu odrzuciła na bok. Jednakże spod błota gdzieś niegdzie przeświecało złoto. Ot, zwykła bryła. Bo złoto jest bardzo ciężkie. Litr stopionego złota waży dziewiętnaście i pół kilograma. 3.800 gramów, to był niewielki kawałek, niewielka bryłka.

Złoto wydobywano w kopalniach na głębokości do 40-tu metrów. Tam, na tych terenach, była wieczna zmarzlina, chociaż nie wszędzie. Pod tą zmarzliną kopano chodniki, niczym nie zabezpieczone, bez stempli. Takie chodniki bez zabezpieczenia trwały i funkcjonowały przez kilka miesięcy. Po tym czasie, gdy tam ludzie chodzili, oddychali, zaczynały się sypać. Ziemia, dotychczas zamarznięta, zaczynała tajeć.

Dłubaliśmy, tzn. wierciliśmy dziury właśnie w wiecznej zmarzlinie. Z wierzchu stawialiśmy dwie rury i tak jechaliśmy aż do 40-tu metrów. To była wieczna zmarzlina. Po czterdziestu kilku metrach dochodziliśmy do skały. W momencie dotarcia do niej natychmiast zaczynała pokazywać się woda. Był to niezawodny sygnał, że skończyła się zmarzlina a zaczęła się skała.

Istnienie wiecznej zmarzliny wynika stąd, że na powierzchni zalegała kilkumetrowa warstwa zbitego mchu. Ta właśnie warstwa trzymała mróz od wiek wieków. Ale gdy przez dłuższy czas po powierzchni chodzili ludzie i renifery, wieczna zmarzlina zaczynała wychodzić.

Transport w tamtych warunkach opierał się na reniferach. Benzynę, drewno i inne niezbędne produkty dostarczano właśnie na reniferach. Nazywaliśmy je jeleniami a ludzi nimi powożącymi - "jeleniowodami". Mieli do swej dyspozycji po pięć par sań. Wizł np. 4 beczki benzyny czy jakiegoś byka, skrzynki, wędlinę w beczkę zalaną tłuszczem. Bywał też smalec "ekstra" do smarowania chleba. W sklepie zawsze musiało być kilka gatunków wędliny; nie ma cudów.

W naszym rejonie nie eksploatowano tajgi. Czasem brano drewno na opał. Sami po nie chodziliśmy. Gdzie chcieliśmy, tam piłowaliśmy. Kto chciał, budował we własnym zakresie i bez żadnego pozwolenia. Drzewa nie trzeba było kupować.



W niedzielę można było wypożyczyć konia. Istniały konne dwory. Konie były niewielkie, bo leżało dużo śniegu. Nasze konie z całą pewnością tam by nie wytrzymały. Jeden z mieszkających tam ludzi miał krowy, które przez całą zimę chodziły po podwórku. Na powietrzu było ponad 50 stopni poniżej zera. Podwórko było ogrodzone żerdkami z niewielkim daszkiem. Wszystko było otwarte. W zagrodzie przebywały dwie krowy. Z tych dwóch krów ten człowiek utrzymywał całą rodzinę. Bo świeże mleko było niesamowicie drogie a w sklepie można było kupić mleko suszone. Suszonej śmietany tam nie było.

W razie awarii maszyn wyganiano nas do pracy do tajgi, aby rąbać drzewo: na opał lub do maszyn, do grzania wody. Pójdziemy do lasu, rozpalimy ognisko, posiedzimy kilka godzin i piszemy 15-cie "kubametrów /metrów sześciennych/ drzewa. Później wozacy jeżdżą po lesie i nigdzie nie mogą znaleźć drewna. A nam już zapłacono i koniec. Czasami na nas narzekano: brygady były na "lesorubce", pracowały, a wozacy nie mogą znaleźć drewna. My odpowiadaliśmy: trzeba dobrze szukać. Idąc do lasu braliśmy wódkę, popijaliśmy a drzewa nie piłowaliśmy. Zresztą śniegu było bardzo dużo. Czasami nawet piłowaliśmy ale na wysokim pniu, bo kto by dokopywał się do korzeni w dwumetrowym śniegu. Tam trudno było podejść.

Raz świętowaliśmy Wielkanoc. Za zgodą i wiedzą naszego kierownika trwało to cały tydzień, po rosyjsku. Trzeba było po tem coś napisać. Napisano, że rąbaliśmy drzewo. Przyjechała komisja i nie znalazła drzewa, które myśmy niby narąbali. I za to ten Rosjanin dostał siedem lat więzienia. Myśmy pieniądze dostali i z tego powodu nie mieliśmy żadnych przykrości.

Śnieg, który pada na Syberii, wkrótce zamarza tak, że można po nim chodzić i jeździć po wierzchu nie zapadając się, tak jak

u nas. Używane tam sanie były to najczęściej tzw. "wałkuszy"; dwie hołoble i poprzeczne belki. Za ich pomocą ściągano drzewo z gór. Jeden koniec kloca kładziono na sanie i z góry powoli można było zjeżdżać. Używane do tego konie a właściwie koniki były małe, jakby mongolskie i przy tym bardzo silne. Z naszymi końmi nic by się tu nie dało zrobić. Warunki pracy były nadzwyczaj trudne.

Wiosną śnieg tajał i znikał bardzo szybko. Gdy tylko słońce mocniej przygrzało, po kilku tygodniach śniegu już nie było. Jednakże trafiały się i takie miejsca, w których śnieg leżał nieprzerwanie cały rok, przez całe lato. Chodząc do pracy obserwowaliśmy takie miejsca: śniegu było coraz mniej, ale już we wrześniu zaczynał padać nowy. Tworzył się lód, wyjątkowo gruba skorupa. Na nią padał właśnie nowy śnieg.

Górskie rzeki a właściwie potoki w czasie mrozów zamarzały. W rzeczywistości to one wymarzały do dna. Gdy pod wpływem słońca lody pękały, woda się przelewała. Były to rzeki kilkumetrowej szerokości w lecie. W lecie można było je przejść w pantoflach. Natomiast wiosną, gdy się rozlewały, płynęły korytem o szerokości do półtora kilometra.

Często pracowaliśmy właśnie na rzekach. Rano wychodziliśmy do pracy w gumowych butach. Śnieg topniał stosunkowo bardzo szybko. Natomiast lód rozpuszczał się bardzo powoli, przez całe lato i jeszcze na "zakwasę" zostawało na przyszły rok. Stwierdziłem to kilka razy: lato się kończy a lód gdzieś tam jeszcze trwa.

W lecie bywało ciepło, można było opalać się. Komarów i meszki było do cholery. Chodziliśmy na grzyby i orzeszki słonikowe. Czasami paliliśmy ogniska. Na twarzach mieliśmy ochraniacze podobne do tych, jakich używają pszczelarze. Myśmy w takich ch-



dzili do pracy. Chroniły one nas nie tyle przed komarami, ile przed meszką - bardzo drobnymi muszkami, zjadłymi, które natarczywie pchały się do oczu. Smarowaliśmy się przed nimi różnymi świństwami, z niejakim skutkiem.

Stałych osad ludzkich tam w zasadzie nie było oprócz zabudowań jakuckich. Ale to nie były osady w naszym rozumieniu lecz zabudowania pojedyncze. Gdy nasza ekspedycja posuwała się w tajgę, Jakuci porzucali swoje chatki / zwane tutaj "ż-buszki" / i odchodzili dalej, w głąb tajgi. Mówili przy tym: "Russkij czekawiek niedobry". Na nas też narzekali. Oni wiedli specyficzny tryb życia: byli przyzwyczajeni do łowienia ryb, hodowli <sup>RENIFERÓW</sup> ~~żył~~ czy wyprawiania skór. A tu nagle przychodzą obcy i zaczynają pić wódkę. Bywały też wypadki, że ich po prostu łupiono. Po tamtych terenach włóczyły się bandy rabunkowe, które zabierały im jelenie. To podcinało ich egzystencję i dlatego oni uciekali.

Naród jakucki był dobry. Ze mną był jeden Jakut. Pracował z nami w naszej ekspedycji przez kilka miesięcy. Miał za sobą służbę wojskową, Był ranny ale też był taki jakiś nie za bardzo. Pamiętam, dałem mu kiedyś klucz, siedemdziesięciokilogramowy, i mówię, żeby wszedł na wysokość dwunastu metrów i coś tam przykręcił przy maszynie. A przecież, aby ten klucz tylko przestawić z jednego miejsca na drugie, wymagało sporego wysiłku. A on, jakiś taki nierozgarnięty, wziął ten ciężki klucz i rzeczywiście zamierzał wspinać się z nim na tak znaczną wysokość.

Mój wujek, Józef Ejczun, był w obozie sowieckim a następnie został zamordowany w Katyniu / wymieniany w dokumentach katyńskich /. Drugi wujek był w obozie na Litwie w Proniewiskach czy może w Kokotowie / już teraz dokładnie nie pamiętam / dotarł



do Anglii i stamtąd, po wojnie, wrócił do Polski. Mieszkał w Warszawie. Już nie żyje.

Starałem się znaleźć angielskie wydanie / dwutomowe / książki o Katyniu. Tam właśnie był wymieniony mój wujek, Józef Ejczun, oficer sztabowy w stopniu kapitana lub majora.

Pewnego razu, po nowym roku, zaprosił nas sąsiad na "poprawkę". Postawił sporo spirytusu i nasmażył sporo mięsa. Dopiero później okazało się, że był to pies. Wypiłem i chciałem zakąsić. Zakąskę przełknąłem z ledwością, chociaż była przyrządzona naprawdę smakowicie, z cebulką. Po dwóch tygodniach sąsiad powiedział: No widzisz, Gwoździński. Ty nie chciałeś jeść sabaki a ja ciebie nakarmiłem.

Jadałem jelenie i niedźwiedzie oraz białe zające północne i białe kuropatwy. Mój kolega, Kirgiz, miał dubeltówkę, z którą chodził na polowania. Przynosił białe zające i białe ~~i białe~~ kuropatwy północne. Tamtejsze zające w lecie były szare a na zimę stawały się białe. Tylko oczy nadal zostawały szare.

Lata spędzone na Syberii stanowiły przerwę w moim życiu. Na warunki pobytu nie mam prawa narzekać gdy słyszę, jakie warunki bytowania spotkały moich rodaków, którzy przebywali na tym okrutnym lądzie w czasie drugiej wojny światowej.

Notował: Stanisław Sianko.